№ 16. 20. Kwietnia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Opanowanie Rusi czerwonej przez Kazimierza wielkiego 1340.

„Kazimierz wielki opanował Ruś czerwoną, która przed stem laty osobnem była *królestwem.* A zatem Kazimierz wielki jest zabójcą niepodległości ludu ruskiego, Polska ujarzmicielką Rusi czerwonej. Gdyby nie Kazimierz i Polska, kwitnęłaby Ruś wielka, świetna, szczęśliwa."

Takie jest zwyczajne rozumowanie dzisiejszych obrońców Rusi. Teraz obaczmy, na jakiejto podstawie istotnych wypadków historycznych opiera się to rozumowanie, ile w niem prawdy lub fałszu.

Stem laty przed Kazimierzem wielkim (1240) znajdowała się Polska w epoce zupełnego rozprzężenia. Z potężnych monarchów, zagartujących niegdyś rozległe państwa czeskie, węgierskie, kijowskie w obręb swojego wpływu, swojej przewagi, zdrobnieli ówcześni jej władzcy w skromne książątka krakowskie, które zaledwie od ćmy książęcych spółubiegaczów o Kraków oganiać się zdołały. O wpływie zewnętrznym, o przewadze nad sąsiednemi państwami, nie można było ani pomyśleć. Takie zaś podupadnięcie Polski dozwoliło podnieść się tem swobodniej częścią małoznaczącym dotąd, częścią zupełnie nowym państwom ościennym. Jakoż podniosły się w ten sposób jednocześnie: nowe kapczackie państwo Mongołów, rozciągające swoje zwierzchnictwo aż ponad Ruś czerwoną (1241), nowo w dziejach rozgłaszająca się Litwa pod łacińskim królem Mendogiem (1262), i znana już Ruś czerwona pod jedynym narodowym królem swoim Danielem (1246). Najnietrwalszą z tych nowych potęg była potęga ruska. Gdyż nawet w chwili najwyższej świetności swojej, za króla Daniela, widziało sie państwo ruskie zmuszonem do sromotnego ulegania drugiej z wyżwymienionych potęg, tj. mongolskiej hordzie Kapczaku. Już we cztery lata po koronacji Daniela przybył doń poseł tatarski z rozkazem: Poddaj Halicz. Zasmucony tém Daniel — opowiada bliskoczesna kronika ruska, zwana „wołyńską" czyli „hipatijewską" *) — zadumał się z swoim bratem Wasilkiem, a w końcu rzekł: Nie dam półojczyzny mojej, lecz pojadę sam do Batego, cara wielkiej hordy kapczackiej „I wyjechał w dzień św. Dymitra, pomodliwszy się Bogu i przyjechał do Kijowa . . . i zwołał księży i mnichów i rzekł igumenowi i wszystkiej braci, niech wzniosą modły za nim do nieba, i uczynili tak, aby mu Bóg miłosierdzie okazał. A on padłszy przed archistrategą Michajłem, opuścił klasztor i siadł do łodzi i widząc przed sobą biedę straszną i groźną, zajechał do Jarosławia, gdzie go Tatarowie spotkali. Ztąd zaś jechał dalej ku Batemu nad Wołgę, chcąc mu czołem uderzyć. . . A wezwany od Batego pokłonił się po obyczaju (świętemu krzewu mongolskiemu) i wszedł do namiotu carskiego. Natenczas ozwał się Bati do niego: Daniło! Czemuż dotychczas nie stanąłeś przedemną? Dobrze że teraz stajesz. Czy pijasz nasz napój; czarne mleko, kobyli *kumus?* — A on odpowiedział: Aż dotąd nie pijałem, lecz dziś, gdy rozkazujesz, napiję się. — Na co Bati: Ty już nasz, już Tatarzyn, pijże nasz napój. — A Daniło wypiwszy, pokłonił się po obyczaju ich, mówiąc: Pójdę uderzyć czołem przed wielką kniahinią Barakizinową. — A Bati odparł: Idź! Zaczem poszedłszy, pokłonił się po obyczaju. I przysłał mu dzban pełny mówiąc: Nie przyzwyczajonyś do mleka, pij piwo.

*) Połn. Sobran. ruskich lietopis. Sankt-Peter. 1843. T. II 184.

O sroga gościno tatarska!“ — żali się dalej nasza kronika. „Daniłowi Romanowicu, niedawno wielkiemu kniaziu panującemu nad ziemią ruską nad Kijowem i Włodzimierzem i Haliczem... siedzieć teraz (z tatarska) na kolanach i nazywać się *chłopem* i dań dawać i nie być pewnym życia i w ciągłej grozie zostawać. O sroga gościno tatarska!.. I bawił kniaź (Daniło) dwadzieścia i pięć dni u Tatarów; poczem dopiero puszczono go i poruczono mu ziemię jego, i wrócił do ziemi swojej i spotkał go brat jego i synowie jego i płakali wszyscy nad swoją ciężką niedolą.“ — Tak nieszczęśliwą, tak podległą była Ruś czerwona w czasach swojej najgłośniejszej chwały. W porównaniu z resztą owych w czasie podupadnięcia Polski wzbujałych na wschodzie potęg, była ona więc istotnie, jak powiedziano, najsłabszą, najnietrwalszą. Okazało się to wkrótce zbyt jawnie. Im dłużej bowiem wspomnione trzy potęgi, Kapczak, Litwa, Ruś, próbę czasu, próbę historji, przechodziły, tem silniej wzmagały się obiedwie pierwsze, tem widoczniej kłoniła się Ruś do upadku. Stołeczne siedlisko Tatarów przeniosło się znad Morza kaspijskiego i Wołgi do Krymu i zbliżyło się tym sposobem znacznie ku głębi Europy. Toż rozkorzeniając się coraz szerzej, opanowali Mongołowie Podole, zostające długo pod bezpośrednią tatarskich baskakow władzą. Jeszcze nierównie potężniej wzrastała Litwa. Już poprzednicy Gedymina rozprzestrzenili ją szeroko ku wschodowi, zagartując Połock, Witepks, Pskow pod swoje panowanie albo zwierzchnictwo. Gedymin dokonał świetnie ich dzieła. Potrojona przezeń Litwa pochłonęła cały naddnieprowy obszar ziemi od Smoleńska aż do Pereasławia, mieszczący w sobie mnóstwo księstw ruskich, a mianowicie stare wielkie księstwo kijowskie. Na Podolu zetknęły się obiedwie przeciwne Rusi, podbójcze, barbarzyńskie potęgi. Zetknięcie to dało hasło do krwawych między niemi zapasów i zaciętego o dalsze łupieże spółzawodnictwa. Głównym zaś przedmiotem ich spólnej odtąd pożądliwości stała się właśnie ta ziemia, gdzie jednocześnie z Litwą i Ordą trzecie nowe państwo w porze podupadnięcia Polski, głowę było podniosło — Ruś czerwona.

Tam stan rzeczy coraz bardziej pogorszał się. Jeśli czasy danielowej wielkości tak gorzkie łzy upokorzenia wyciskały, lata następne jeszcze więcej smutku przyniosły. Po śmierci Daniela zasłynął najgłośniej jego pierworodny Lew, “*syn korolewskij*„ jak go wspomniona wyżej kronika w pamięć królewskiego dostojeństwa ojca Daniela nazywa, „*mirnik*“ czyli hołdownik Ordy, poniewolny pomocnik Tatarów w wycieczkach w ziemie polskie, posłuszny rozkazowi tatarskiemu niszczyciel własnych grodów, Daniłowa, Stożka, Lwowa, które carzyk Burondaj zbużyć mu każe, aby nie posłużyły przypadkiem za obronne przeciw zwierzchnictwu tatarskiemu stanowiska — srogi przy wielkonocnej pijatyce skrytobójca litewskiego kniaziaczeríca Wojsiełka, książę na Przemyślu, Haliczu, Chełmie i Drohiczynie. Ale obok niego panował we Włodzimierzu wołyńskim niezawiśle stryjeczny brat Włodzimierz. To rozerwanie złączonych zwyczajnie ziem czerwieńskiej i wołyńskiej, nie przyczyniając się bynajmniej do wzmocnienia czerwonej Rusi, wskazowało owszem tylko naturalny jej podział pomiędzy spółubiegające się o nią potęgi Litwy i Ordy. Litwa wzięła na cel bliższą sobie ziemię wołyńską; Orda trzymając już Podole, zamierzała bezpośrednio lub pośrednio opanować także właściwą Ruś czerwoną. Jakoż zaszły już ważne ku temu kroki. Podczas gdy niedawno król Daniel, pan Kijowa, właśnie dla uniknięcia bezpośredniego w swych ziemiach gospodarzenia tatarskich baskakow, sam do Batego nad Wołgę z pokłonem w ową „srogą gościnę“ jechać wolał, a domowe po sobie następstwo książąt czerwonoruskich żadnego ze strony Tatarów wpływu nie doznawało, gościły teraz carzyki tatarskie w Lwiej Rusi jak w własnym domu i zapragnęły wreszcie widzieć na tronie ruskim nie inne tylko przez siebie samych ustanowione książęta, tj. mieć w tych książętach już nie tylko swoich „*mirników*“ hołdowników, lecz swoje własne sługi, własne baskaki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Słońce sypało złotemi promieniami do koła, rozlewając ciepło żywotne; swiat cały w barwach jasnych i wesołych, lsnił oczy młodzieńca.

— Prawdą jest swiatło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko co widzę! wykrzyknął Tomko w zapale uniesienia.

— A czemże będzie ciemność, smierć, chłód i to czego w tej chwili nie widzisz? spytał nagle maleńki człowieczek, który z pod stóp Tomka jakby z ziemi wyrósł.

Nie zląkł się nasz bohater niespodziewanego zjawiska, spojrzał na nie ciekawie, zamyślił się i zamilkł.

Człowieczek ów, który zdał się z ziemi wychodzić ubrany był nowomodnie a bardzo wykwintnie. Ogromna fryzura spadała mu upudrowana na barki, stosowany kapelusz miał pod pachą, szpadkę u boku z porcellanową rękojeścią (wyglądającą w istocie jak widelec) axamitną suknię mordore szytą blaszkami i jedwabiem, kamizelę atłasową w złote kwiatki, jedwabne na nogach pończochy i książkę wyglądającą z kieszeni.

Powitali się podróżni i potrzeba było wzajemnie zarekomendować:

— Jestem German Baron von Teufel, odezwał się przybyły; od dawna także szukam prawdy i znaleźć jej niemogę. Pójdziemy razem młodzieńcze pełen nadziei i będziemy uczyć się wzajemnie, mnie może brak już siły, tobie doświadczenia, podeprzemy jeden drugiego. Nie tracąc czasu: powiadasz że ciepło, ruch i życie jest prawdą? Mijam to że ciepło, ruch i pewne życie znajdziesz w gnijącym trupie; ale czemże będzie wszystko przeciwne?

— Fałszem odparł Tomko naiwnie —

— Dla czegożby fałsz miał exystować obok prawdy i na równych z nią bytu prawach? Hm? powiedz mi, po co *jest* fałsz?

— Fałsz jest brakiem prawdy, znów splątany rzekł Tomko.

— Dla czegożby prawda miała być tak dziwnie mierzona i dzielona po odrobince; dla czegożby jej niedostatek miał walczyć z nią samą jak to widzimy codzień?

Idźmy i patrzmy a nie wyrokujmy —

Młody chłopiec spuścił głowę, zamilkł; Baron German uśmiechnął się nieznacznie — w cichości spoglądali, a Tomko często się zastanawiał i głęboko zamyślał.

Przeszedłszy kawał drogi, siedli odpocząć nad brzegiem rzeki, i mimowolnie zwróciły się ich oczy na otaczające skał massy. Podnosiły się one połamane, siwe, omszone, w dziwnych kształtach, dając znać o sobie że ich wieki pożyć, i skruszyć nie mogły.

Baron German widząc jak Tomko ciekawie wpatruje się w skały, zagadnął go:

— Co ci one mówią?

— Mówią mi bardzo wiele rzeczy, których ja jeszcze jasno nie rozumiem.

— Pozwól więc mi być tłumaczem. One ci mówią że *byt* nie jest udziałem tego co my zowiemy właściwiej życiem, żywotem jednostki; że dłużej trwa kamienna massa, niżeli ruchawe zyjątko. Gdzież ta twoja prawda, która mówiła że ruch tylko jest życiem prawdziwem, prawdą samą?

— One ci mówią, że materja i materji prawa są prawdą jedyną; reszta wyrostkiem, brodawką, która okazuje się i znika. *Forma mutatur, materia permanet.* Nie tak li?

— Tak jest, odparł Tomko, ale obok tego i *Materia mutatur, forma permanet,* będzie także drugą prawdą, nie mniej od pierwszej prawdziwą.

Oba zamilkli, German zażył tylko tabaki, Tomko pochylił się smutny, a pod nogami swemi ujrzał kwiat pełen woni i cudnemi barwami odziany.

Kwiat ku niemu podniósł wonną swoją główkę i uśmiechnął się. —

— Co to prawda? spytał go Tomko.

— Prawda to moja szata niebieska, to moja woń, to *ja.* Wszystko reszta jest fałszem i ułudą. Zacznij od kwiatu a wytłumaczysz swiat cały; wyrwij go z ziemi, a życie ustanie wszędzie. Skały rozsypują się pod nogi nasze, na pokarm gnije dla nas zwierze. Bez nas niema zwierzęcia, niema człowieka. Człowiek jest tylko pierwszym naszym sługą; my środkiem stworzenia. Wiem że powiadacie sobie, iż dla was służy wszystko, że wy jesteście wszystkiem; my toż samo myślemy o sobie. — Powtarzam ci — prawda — życie — ta ja: to kwiat!

German Teufel który leżał pod ogromnym kamieniem nad wodą i spluwał na nią, bawiąc się kółkami które na niej powstawały, rozsmiał się głośno słysząc te dumne słowa.

Grzyb ze starego pnia wysadziwszy głowę, począł mu wtórować. —

— Co za dziwna pretensja! krzyczał z oburzeniem zakładając na ucho swój ogromny skrzydlaty kapelusz. Kwiat jest głupią i nieforemną karykaturą grzyba! niedoskonałym grzybem, któż tego niewie. Wszystko poczyna się od alfy — grzyba i na omega — grzybie kończy. Grzyby rosną wszędzie, począwszy od nosa człowieczego, który często za wygodne i miękkie służy im siedlisko.

Grzyb jest najdoskonalszym bez wątpienia stworzeniem: obie płci ma w sobie, rozpładza się lada dotknięciem do ziemi, powietrze służy mu, nosząc wszędzie jego zarodki silne do najniedojrzańszych pyłków i bryłek. Wszędzie my jesteśmy, my królujemy, reszta nasze *prostratum.* Grzyb prawdą, grzyb życiem, reszta podściołem na którym on sobie wygodnie urasta.

— Milczałbyś muchomorze zjadliwy, krzyknął German pięścią go gniotąc — paplész zupełnie jak człowiek i siebie bierzesz za ognisko wszystkiego, bo resztę nie rozumiesz. Siedź póki cię kto zdybie i milcz.

Ucichło, ale muszka przelatując tamtędy siadła na kwiatku i brzęczéć zaczęła:

— Có za życie kwiatka i grzyba? Bez ruchu, bez głosu, bez ciepła? Ja to żyję! ja żyję lepiej od nich, ja jestem jedyném życiem i prawdą żywota.

Nie pytaj innych, każdy ci powie że najdoskonalszy, ale popatrz się tylko okiem bezstronnem, nie ja to czasem jestem istotną panią stworzenia?

Lecę, idę, biegnę, płynę na trawy zdziebełku gdy zechcę gdzie zechcę — Budowa ciała mojego doskonała a prosta, Patrz co za sliczna i kształtna? A jak mało potrzeba mi do życia? Jednej kropelki z kielicha kwiatu, trochę pyłu który wiruje w powietrzu. — Jam życiem, jam sama prawdą. W tém doleciał ptak i muszkę połknąwszy tak zaśpiewał:

— Ja to jestem prawdą życia! w stworzeniu stoję pośrodku latam, pływam i chodzę; głos mam czarowny, mam szatę bogatą, mam kształty wytworne, jestem królem i panem swiata — Czém wy przy mnie? Niewolnicy czołgający sie po kale i gnoju.

Zaświergotał, zatrzepotał skrzydełkami i uleciał. Wtedy żaby i ropuchy podniosły z głębi wód z jam w szczelinach ziemi, głos ogromny oburzenia pełny.

— Cha! cha! cha! cha!

Cały naród wodny i sprzymierzone węże, płazy, skorupiaki, żółwie, powysadzały głowy na wierzch, porozdziawiały paszcze i za boki się trzymając rychotały od smiechu.

— Cóż to za bałamut? rzekła stara ropucha blisko w dziurze siedząca, sam niewie co bredzi. Życie jego życie co ono warto proszę! funta bym kłaków nie dała za nie Naprz ód że krótkie do licha. My możemy żyć w szczęsliwém uspieniu, pół życiem, pół marzeniem rozkosznem, zamknięte w skale, zarosłe w drzewie lat tysiące, nic nie potrzebując do podsycania w sobie życia; bo w nas samych jest silne jego ognisko.

Wyjm mi serce, wyjm mózg, rozpłataj którą z moich przyjaciółek, a z sercem z mózgiem, z raną nie odbierzesz nam życia. Z jednego rozciętego dwa ci wyrosną płazy.

Zółw dodał poważnie z pod kaptura wysadzając nos zatabaczony:

— A kiedy przyjdzie kochać, toć kochamy nie tak naprzykład jak te błazny wróble co tylko skrzydełkiem musną ulubioną i ruszają dalej. — Nasza miłość trwa tyle, ile drugich życie.

Muszle i inne twory z głębi wód, adwokatom swoim potakiwały wesoło, a węże swistały radośnie.

Stara ropucha zakaszlawszy, tak dalej mówiła:

— Chwalcie się sobie wszyscy jak chcecie, a nasza prawda; królestwo nasze ogromne. Wszystko co jest, jest niedoskonałym płazem. Mniej daleko ma doskonałe organa i słabsze nierównie życie.

— Siedziałabyś cicho sofistko! chlupnął polyp — sliczne życie! Jedno serce, jedna głowa, jeden i do tego wcale kiepski żołądek! — U mnie zobacz co się dzieje. Serce, żołądek, piersi, wszystko co u was porozdzielane, porozrywane, u nas jest jedném, niewiadomo gdzie się co poczyna, gdzie się kończy. Za to też tnij mnie sobie jak chcesz, węzłów życia we mnie bez liku, odrodzą się do nieskończoności.

Tysiące różnych głosów drobnych a nieskończenie licznych zaspiewały chórem, głusząc polypa, który zanurzył się rychło i wzgardliwie odwróciwszy uszedł.

— Nasz jest swiat, my życiem i prawdą, spiewały helminthy — myśmy żywota żywotem, wszystko nam służy i dla nas jest. Od kropli wody począwszy do kropli krwi ludzkiej, do mózgu i łzy waszej, gdzież nas niema? Jesteśmy wszystkiem i wszędzie. Gdzie u których istot co się tak chwalą sobą, znajdziesz taką rozmaitość kształtów nieskończoną, tak dziwaczne, a swobodne przemiany? Wyście tylko pastwą naszą, swiat należy do helminthów!

Ale choru spiewaków co ich otaczał, nie słuchały stworzenia ani ludzie; algi nad wodą kiławy zielonemi głowa mi a stary szczupak wąsaty który wszystkiego cierpliwie słuchał, ruszając tylko skrzelami, rzekł uśmiechając się do barona Germana:

— Miła rzecz to życie, którem się przechwalają polypy! połowa ich nie rusza się nigdy z miejsca, druga niema najmniejszego czucia, lub przynajmniej znaku jego nie daje. Wystaw sobie kochany panie, że niektórym pokarm całkiem zbyteczny; żyją licho tam wié czém, na stole cudzym nie smakując, nie gryząc i nie oblizując się. I to do czego się żaden także polyp nie przyzna, a wiem najpewniej, że wielu umiera miłości nie znając, nie mając wyobrażenia jej. Jakie życie, taka miłość!

To mówiąc a niemogąc dłużej wytrzymać na powietrzu, szczupak zanurzył się chwilę, poczem *iterum* głowę podniósł i tak mówił dalej, pokręcając wąsa.

— Przyznam się waszeci, że się bardzo dziwię, jak możecie żyć samem powietrzem? Takie to czcze, nikłe, nudne i nieposilne! I my go tam po troszę używamy, ale żeby w niem żyć całkiem i ciągle, przyznam się asindziejowi to *absurdum!*

— Masz rację, rzekł szydersko baron German, ja sam choć jestem człowiekiem, tej potrawy niestrawnej, która ci się cisnie do ust nieproszona, cierpiec już nie mogę.

— Bo cóż jest powietrze, mówił zapytując się szczupak — jeśli nie rozrzedzona woda? Co jest swiatło, jeśli nie rozpromienione powietrze (darujcie szczupakowi, nie uczył

się fizyki) — A co jest ziemia, jeśli nie woda zgęsła znowu? Prawda mości dobrodzieju jest w wodzie, wszystko jest z wody, wodą, przez wodę *et sic porro*.

— Najniezawodnjej, potwierdził baron, a szczupak w wodzie żyjący jest niezawodnie też królem stworzenia.

— Pochlébca! myślisz że niewiem o innych starszych i godniejszych odemnie (oprócz suma którego dziwną pretensią do arystokracji się brzydzę.)

— O starszych, ale o rybach — dodał baron.

— To się rozumie. Ryba ma wielką oczewiście wyższość nad wszelkiem innném stworzeniem, żyje bowiem w elemencie który jest jedynym, zasadniczym.

— Wszakże i to niezgorsze jak na szczupaka dowodzenie! Szczęściem że nas powietrze nie słucha, bo by ci odpowiedziało, że woda jest tylko spalenizną i węglem.

Tomko słuchał rozpraw i milczał.

W tém wieśniacy przyszli paść woły, a bydło idąc ryczało także swoje pochwały, nie czekając końca rozmowy ze szczupakiem.

— Co za głupcy! wszakże któż nie wie że na czworonogich i ssących kończy się i zamyka stworzenie, którego są koroną. Człowiek jest popsutém zwierzęciem, które się jak szpic na dwóch łapkach skakać nauczyło i zaparł się swoich nóg i wziął na nie rękawiczki żeby nie było widać, że kopytko na pięć palców rozdłubał, tysiące lat koło niego dłubiąc.

Myśmy panami stworzenia! Kopcie w ziemię, znajdziecie tam wołu przedpotopowego, mastodonta i prostoplastów naszych, których my jesteśmy prawém potomstwem i spadkobiercami.

Czém człowiek przy tych olbrzymach? Płonie mu iskierca jasna w kątku głowy i nią się strasznie chwali — Cha! cha! siła to życie! siła to prawda — Słoń królem stworzenia!

Ucichło i owce powtarzały chórem.

— Słoń królem stworzenia!

A osioł strzygąc długiemi uszami, ryczał:

— Jesteśmy z nim w pokrewieństwie — przez twardość skóry.

(Wszelka arystokracja lubi się swemi związkami wychwalać.)

Muł w tej chwili przywitał się z osłem, i dziękował mu za to że mu osioł na nogę nadeptał, szeptał bardzo grzeczniuchno ustępując się;

— *Pardon, mon cousin, vous êtes bien bon!*

Osieł odskoczył, pastuch z bicza trzasnął, i wszystko ucichło.

— Gdzie prawda? spytał German.

— Niewiem, rzekł Tomko, czekam słucham, patrzę szukam — to pewno że nie w tém cośmy dopiero słyszeli.

— Jeszcze to nie wszystko—odparł towarzysz podróży. Kształt i barwa poczną się zaraz kłócić w twojej głowie Obejrzyj się: w jednych tworach wygórował kolor i zdaje się uchować życie, zdaje się bydź jego wyskokiem, znamieniem; u drugich zobaczysz tylko kształty i linie, któreż z nich jedyną prawdą?

— Niewiem, powtórzył Tomko — Chodźmy dalej, chodźmy dalej!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedź na artykuł p. Szlachtowskiego w N. 13 Tyg. Lwow.

Gdyby sama bibljoteka miała stanowić istotę zakładu naukowego I. O. natenczas uporządkowanie jej, spisanie katalogów i otworzenie czytelni, byłoby dopełnieniem warunków istnienia zakładu naukowego, a od jej dyrekcji niepozostałoby nic więcej do żądania. Lecz w zakładzie naukowym I. O., bibljoteka sama nie stanowi istoty zakładu, jest ona tylko jego częścią, jako w zakładzie naukowym jednym z koniecznych warunków ale nie samym zakładem. Z tego powodu inne są wymagania od dyrekcji.

Naukowy zakład bez oddziaływania na zewnątrz, słowem bez życia, jest czystą teorją, jest formą tylko. Ażeby z wiecznego snu wstąpić w życie, trzeba ożywczego ducha. Tym duchem w zakładzie, tém sercem wiecznie bijącem w łonie jego, powinna być znakomita potęga umysłowa dyrektora, któraby tchnieniem własnego życia umysłowego, była w stanie zdrętwiałą istotę zakładu pobudzić do ruchu umysłowego. Jaka przyczyna taki i skutek. Niedołężność jest przyczyną śmierci nie życia. Tylko w miarę potęgi umysłowej dyrektora i jego charakteru może zakład działać na zewnątrz odpowiednio swojemu przeznaczeniu. Zatem wzrost lub upadek zakładu ma przyczynę swoją w dyrektora uzdolnieniu lub niedołężności. Nie dosyć na tem. Ażeby zakład odpowiednio przeznaczeniu swemu mógł działać na zewnątrz, potrzeba mu organu. Tym organem byłoby czasopismo zakładowe pod dyrekcją dyrektora. Lecz sam dyrektor bez pomocy literackiej nie jest wstanie wydawać czasopismo, dla samej różnorodności naukowej i literackiej, bo wszystkie umiejętności trudno samej dyrekcji przypisać. Trzeba zatem ludzi naukowych, literatów. Cóż z tąd wypływa? Oto że pod lada jaki sztandar legiony uczonych i literatów nie dadzą się zaciągnąć, że tém samém, takiemu ciału powinna przewodniczyć najznakomitsza potęga umysłowa z najszlachetniejszem sercem. Za dowód mogą posłużyć czasopisma B. O., które dla braku powyższych warunków wiecznie w pierwiastkach życia swojego zaumierały.

Zakład naukowy jakim go ś. p. Ossoliński chciał mieć, powinien być ogniskiem dla wszystkich myślących w kraju. Powinien być miejscem kędy usposobione pióra do uprawienia gleby duchowej narodu zlane w jedno ciało, dając ciągłe oznaki życia własnego, cuciłyby omdlałe ciało narodowe, zagrzewałyby ducha jego ku wzbiciu się w potęgę naukową.

Powinien być szkołą dla utalentowanej młodzieży, aby kształcąc się mogła swym przypływem ubytek konieczny zdolności zastąpić, a tém samém aby nigdy nie zabrakło zdolnych przewodników narodowi. Pojmował ś. p. Ossol: doskonale różnicę między bibljoteką jako instytucją miejscową, zatem przykutą do pewnego miejsca, tém samém dla małej liczby przystępną, a zakładem naukowym, ogarniającym przez światłych przewodników na czele zakładu stojących, cały naród pod swe skrzydła opiekuńcze. Pojmował on że w sferach naukowych, w świecie duchowym, przestrzeń od przestrzeni nie da się żadnym słupem, żadną demarkacją rozdzielić, jak to na ziemi łatwo wykonać. Że takie, nie inne myśli miał ś. p. O. w utworzeniu zakładu naukowego, dla którego mienie i całe życie swoje poświęcił, dowodzą warunki ustaw pod któremi zakład ten miał istnieć, a którego przeznaczenie bezwzględnie na jego świętą wolę i dobro ogółu, dyrekcja, pojmując jednostronnie zakład, zwichnęła. Jednym z pierwszych warunków było wydawanie bez przerwy czasopisma odpowiedniego przeznaczeniu zakładu, a następny 3, 4 i 10 paragraf są oczywistym dowodem że nie same utworzenie biblioteki jego myślą kierowało.

„§. 3. Z powodu stypendystów dawane będą w sali bibljotecznej dwie lekcje na tydzień, Historji, Literatury i Bibljografji na których to lekcjach i obcym znajdować się wolno. Dyrektor i kustosz za aprobatą kuratora przedmioty podzielą pomiędzy siebie a w razie słabości jednego lub niebytności, jeden drugiego zastępować będzie.“

„§. 4. Oprócz tego obowiązani będą dyrektor i kustosz kierować czytaniem stypendystów, *wprawiać ich w roboty literackie i bibliotеczne,* udzielać im potrzebnego objaśnienia, mieć dozór nad ich sprawowaniem.“

§. 10. Źle sprawujących się jako też nieczyniących postępu *kursów* mocen jest od stypendjów oddalić.”

Ażaliż nie zmarnotrawiła dyrekcja długiego lat szeregu bez najmniejszej korzyści dla ogółu, nie dopełniwszy, ani jednego warunku w ustawach jej przypisanego? Gdzie młodzież której liczba prawem przepisana czterech najmniej dochodzić powinna? Czy dyrektor i kustosz dawali młodzieży lekcje? Czy ją sposobili bądź na literatów bądź na urzędników bibljotecznych? Gdzie są czasopisma któremi zgłodniała publiczność nasycić mogłaby się? Czy może puszczane bańki przez p. S. mają to wszystko zastąpić? Wszak te czynności mogłaby była dyrekcja wypełniać krom porządkowania bibljoteki. Zaprawdę niegodzi się o nikim źle mówić, lecz tym razem nie można cofnąć raz wyrzeczonego słowa o dyrekcji zakładu naukowego.

Przystąpmy do obrony p. S., która niemało posłużyła do objaśnienia zarzutów zakładowi uczynionych. — Pan S. podzielił obronę swoją na dwie części. W pierwszej *uniewinnia zarzuty* zrobione dyrekcyi, samem przypuszczeniem że nie pochodzą z zasady prawdziwej, lecz z osobistości złośliwej, a jako takie nie powinny zasługiwać na żadną wiarę. P. S. opiera się na historji p. Libri, sławnego bibljotekarza we Francji, któremu osobistość niesprawiedliwie zarzuty czyniła oczem się cała Francja później przekonać miała, poczem nadzwyczaj logicznie przyprowadza w zasadę iż nic dziwnego że i dyrekcję zakładu Ossolińskich takie same zarzuty pochodzące z osobistości i ze złości spotkać musiały. Zaiste jest w tém rezonowaniu stopień filozofji, godny uczczenia patentowego. Muszę tu nadmienić jednakże Augsburską powszechną gazetę i Nationala jako obfite źródła do naczerpania ciekawych szczegółów o panu Librim. Sam zaś tu powiem, że p. Libri dostał się na posadę nie własną zasługą ale protekcją p. Guizot i p. Rossi, a którą 1848 r. musiał osierocić, umykając do Anglji w ślady jednego przy życiu pozostałego protektora. Francja jednakże pocieszyła się dość prędko po stracie słynnego męża za pomocą zdrowego rozsądku którym kuglarstwo od prawdy rozróżniać zwykła. P. Libri wytoczono proces w skutek zniknienia wielkiej liczby duplikatów bibljotecznych, a luboć się znalazło pióro które obronę p. Libri wzięło na siebie, pomimo to p. Libri nie powraca dotąd do Francji, nie staje przed sądem, nie uniewinnia się. W najlepszym razie p. Libri jest dwuznaczną figurą, i dziwić się wypada że p. S. tak jednolitą prawdę ceniący postawił go obok siebie, nadto przyznał mu wyższość.

W drugiej części oznacza epoką zakładu p. S. przyjściem swojém a to od r. 1839, oskarżając tém samém wszystkich poprzedników swoich. Jako punkt oparcia służy mu zdanie Lelewela i mniema, że kiedy dyrekcja od r. 1839. w przeciągu lat dziesięciu uporządkowała bibljotekę, spisała katalogi, nadto inwentarz sporządziła, nie marnotrawiła czasu nie zajmowała się drobiazgowością, zbyt wielkie zasługi położyła ukończywszy przy tylu innych zatrudnieniach w tak krótkim czasie dzieło, godne całego życia zdaniem uczonego Lelewela. Byłoby w tem coś prawdy, gdyby powyżej niebyło wykazanem że sama biblioteka niestanowi zakładu naukowego i gdyby nie można na to powiedzieć, że za dyrekcji p. Słotwinskiego znajdowały się katalogi i czytelnia była otwartą i że właśnie to jest hipotezą: który porządek byłby odpowiedniejszym czy dawniejszy czy teraźniejszy. Do tego i to nadmienić wypada, że bibljoteka nie ma ukończonych katalogów, albowiem brakuje jej odsyłaczy bez których jedną książkę zwyż pół godziny trzeba szukać nim się ją znajdzie, a inwentarze *jakich mało na świecie* także niezupełnie spisane ponieważ z 20,000 zbioru medali ledwie 4,000 sztuk w regestr jest wciągniątych. Reszta mniemanej obrony zasadza się na samych twierdzeniach porozrzucanych po całym artykule jako to: że do domów dyrekcja książki pożycza, co nie na pochwałę lecz na surową naganę zasłu-

guje. Dyrekcja lekceważy ten majątek bibljoteczny, podając najłatwiejszy sposób do zatracenia zbioru. Exemplarze których edycja wyczerpana, zatem niemożliwe do nabycia, również wszystkie rękopisma niepowinny być chociażby za rewersem, najzaufańszym osobom wypożyczane do domów, przez wzgląd na sam możliwy wypadek. Drugie twierdzenie jakoby wszyscy przybywający do bibljoteki w zamierze wypożyczenia książek z największym zadowoleniem odchodzili, jest bezzasadne. Ponieważ dyrekcja przyjęła zasadę zakupywać same polskie książki i dla tej przyczyny w ostatnich kilku latach żadne dzieło naukowe spisane w obcym języku nie wpłynęło do zakładu, tém samém postawiła się w położeniu takim, że nie jest wstanie wszystkich przybywających zadowolnić. Luboć mocno cenię patryotyzm lecz muszę wyznać, że tym razem w dziwny sposób dyrekcja go pojęła. Dyrekcja zakupywała massy tłumaczeń romanso-pisarzy francuzkich i różnych ramot pisanych w ojczystym języku bez względu czy co warte lub nie, byle po polsku wydrukowane, a nie mogła się zdobyć na zakupienie np. kompletu dzieł Goëthego i Szyllera z których to dzieł obecnie bibljoteka tylko po jednym tomiku posiada, Nie jestże to zajmowanie się drobiazgowością? Czy w ten sposób uczony Lelewel pojmuje dyrekcję bibljoteki? Za czem to ma świadczyć, czy za erudycją czy nieuctwem?. P. S. przytacza jeszcze jeden ważny dowód niewinności dyrekcji, (a raczej naiwności) a tym jest otworzenie czytelni za czasów konstytucyjnych. Był to czas w którym dyrekcja mogła narodowi złożyć ważniejsze dowody zdrowego pojmowania przeznaczenia zakładu niż samo otworzenie drzwi które wtedy publiczność sama nie ścierpiałaby zamkniętemi. To jedno co się dyrekcji podczas dziesięcioletniej administracji udało, wyznaję! — Z tego wszystkiego wypływa że tłómaczenie dyrekcji naukowego zakładu w skutek jej uczynionych zarzutów, w żaden sposób nie jest możliwem, tem mniej w sposób, który p. S. obrał, tłómacząc samemi hipotezami w najlepszym razie nie zakład, nie bibljotekę tylko zadrasniętą fałszywą ambicję własną. P. S. nietylko że niezbił zarzutów ale swoją obroną udowodnił jak on jednostronnie przeznaczenie zakładu pojmuje, a tem samem czego się pod jego dyrekcją po zakładzie naukowo-literackim spodziewać można.

Nie tłómaczenia tego co się nieda niczem usprawiedliwić potrzebuje naród zawiedziony, ale skruchy za przeszłość bez zarozumiałości na przyszłość. Przyznanie się do błędu jest krokiem pierwszym do *zwycięztwa* słabości. Zarozumiałość w jakimkolwiek sposobie jest wynikiem słabości nie potęgi, ona to wzbrania o ile można człowiekowi pozyskać dokładność, prowadzi do mierności, częstokroć do zupełnego upadku. Do prowadzenia tak olbrzymiego dzieła potrzeba olbrzymich zdolności. Trzeba nauki, dobrych chęci, niezłomnej woli, niezmordowanej pracy. Kto te wszystkie przymioty, niezbędne dla dyrektora zakładu naukowego I. O. posiada, a wyrzuciwszy z duszy sobkostwo, mając prawdę i dobro ziomków na pieczy, z spokojnym sumieniem z ręką na sercu może wypowiedzieć — podołam temu zadaniu — ten niech się chwyta steru i kieruje nawą ojczystą. My mu wykrzykniem — Sczęść ci Boże — a jeżeli spełni zadanie, ojczyzna błogosławieństwo mu przyniesie. W obecnym położeniu kraju zakład naukowy jest tem jednym przykładem dobrej nadziei naszej. Oceńmy go już raz i wspierajmy wszelkiemi siłami naszemi. —

W końcu jeszcze to dodać muszę że nie osobistość, jak p. S. podobało się utrzymywać ale dobro kraju było powodem niniejszej odpowiedzi i gdyby nie ta jedyna przyczyna, zaniechałbym polemiki z osobistości pochodzącej jako niegodnej pióra mego.

I. I.

O towarzystwie naukowém w Krakowie.

I.

Towarzystwo naukowe krakowskie jest ściśle połączone z uniwersytetem Jagielońskim. Sposób ten łączenia z gronem nauczycieli tow. naukowe jest również zbawienny dla uniwersytetów jak dla oświaty uczonej za obrębem uniwersytetu. Bo z jednej strony rozszerza ciasny obręb działania uniwersyteckich nauczycieli po za szkołę; z drugiej nadaje ruchowi naukowemu w krajuześrodkowanie i czyni uniwersytet sercem naukowości w narodzie.

Tem mógłby być uniwersytet jagieloński i połączone z nim towarzystwo gdyby okoliczności przyjaźniejsze były temu jego działaniu.

Jednak dotychczas musi opatrzności dziękować że się nie stał bezowocnym dla kraju cudzoziemskim uniwersytetem, niedopiero abyśmy mieli wymagać od niego dopełnienia owego wielkiego zadania by się stał środkiem naukowości polskiej: témbardziej że obsadzenie katedr uniwersyteckich dziś już niezależy od grona nauczycieli lub władz narodowych, jak niegdyś, a przynajmniej narodowości sprzyjających.

Z tego powodu radośnie witamy każdy, choćby najmniejszy, krok postępu tego instytutu na drodze oświaty narodowej. Za taki, a to niemałej wagi, krok poczytujemy zaprowadzony początkiem r. 1849 podział Tow. naukowego na dwa główne Wydziały z których, jeden: *akademiczny* zostaje przy dawném zadaniu *uprawy nauk i umiejętności obchodzących zarówno całe człowieczeństwo»*: — drugi zaś *wydział rozpowszechnienia oświaty* obejmuje zakres działania ściągający się wyłącznie do naszego kraju.

Godny uwagi jest w tej mierze w »*Głosie»* p. Majera którym zagaił jako prezes publiczne posiedzenie Tow. 4. Listopada r. 1848, ustęp wyjaśniający niejako powody utworzenia tego wydziału; oto są słowa p. Majera:

»Swieże doświadczenie w dziejach naszego kraju krwawą »ręką zapisało biada wam! i trzykroć biada że wielki obszar »dziedziny duchowej zarosły u was chwasty i szkodliwe »zielska — Coż to za obszar? — *to massy ludu:* coż to za »zielsko? — to namiętne chuci wyrosłe z ducha i serca *nie-»uzacnionego najmniejszym promykiem oświaty*... (Patrz Ro-»cznik Tow. nauk. r. 1849. Zesz. I.)

Więc oświatę ludu obrało sobie Tow. za cel i obowiązek, zaiste niemogło się chwalebniej wywiązać ze swego zadania społecznego, jak łącząc do kapłaństwa wyższej naukowości kapłaństwo nauki ludowej.

Załujemy że Tow. dla położenia swego do rządu i dla braku zasobów pieniężnych przemuszone jest bardzo ograniczać swój zakres działania w tej mierze — gdyż zaiste widząc jak wielki jest brak szkół początkowych narodowych w kraju naszym, każdy nam wybaczy, że pragniemy aby Tow. mogło więcej niż tylko pośredni wpływ mieć na szerzenie oświaty w naszym kraju.

Ale przy braku funduszów i niepewności jaka panuje względem przyszłego planu naukowego i innych drażliwych stosunkach kraju, musimy wydanie dwóch elementarnych książeczek i rozesłanie kilku innych po szkółkach uważać za dostateczne.

W obec innych okoliczności wymagalibyśmy może aby Tow. przedłożyło rządowi plan organizacji szkół początkowych i średnich, by tak przyspieszyć oczekiwaną organizację tychże; aby się zajęło założeniem seminarjum nauczycieli elementarnych; aby otworzyło składkę na utworzenie funduszu ku zakładaniu szkółek początkowych; aby się porozumiało z Tow. agronomicznemi w celu uczynienia tych szkółek pożytecznemi także dla wzrostu oświaty gospodarczej i przemysłowej między ludem wiejskim.

Ale jakże moglibyśmy wymagać takich rzeczy od Tow: niewspieranego w niczem przez powołane do tego potęgi, ubogiego w fundusze i znajdującego mnóstwo przeszkód w działaniach swoich; mając przed oczyma przykład *akademji umiejętności*, o której istnieniu bylibyśmy zapomnieli zupełnie, gdyby tego dziennik pół-ministerjalny „Lloyd" nieprzypomniał, który gani ten instytut jak najostrzej, że doznając niezwykłego wsparcia od rządu, pożerając ogromne fundusze, wegetuje bez najmniejszego na oświatę powszechną wpływu — uzupełniając szeregi swoich członków (z których niektórzy są rzeczywiście ludźmi nauki) ludźmi nie znanymi w świecie naukowym, mumjami szkolnemi, pomija najsławniejszych autorów jak: Manzoni, Auersperg (Anast. Grün) i mnóstwo innych.

Szczycimy się tém że w instytucie tak ostro osądzanym nawet przez dzienniki bynajmniej do opozycji nie należące nie zasiada ani jeden polski uczony; a porównawszy działanie naszego tow: naukowego możemy mu tylko być wdzięczni za to, że wśród okoliczności tak mało sprzyjających dążeniom narodowym zaprowadziło w składzie swoim zmianę tak wiele rokującą dla powszechnej oświaty.

Kończąc ten pogląd na *organizację tow. naukowego* musimy jeszcze wspomnieć o innych pożytecznych tegoż zamiarach. Tow. zamierzyło nieprzybierać *członków honorowych* „by nie świécić światłem pożyczonem lecz w miarę sił i najlepszych chęci wyrobić je własną pracą," lecz tylko takich którzy zechcą czynnie popierać jego ważne cele.

Jestto zdaniem naszém największa rękojmia przeciw zgnuśnieniu towarzystwa.

Członek *czynny* ma *obowiązek* popierania celów Towarzystwa *własną pracą*. Członkiem *wspierającym* może zostać każdy, który zechce wspierać cele Tow: przepisanym zasiłkiem pieniężnym. Zasiłek ten składa się z opłaty wstępnej, Złp. 500 i miesięcznej złp. 10.

Zdaje nam się że każdy obywatel szczerze dobro kraju na sercu mający powinienby starać się, jeżeli niemoże naukową pracą, to przynajmniej pieniężnym datkiem być pomocnym tak ważnym celom towarzystwa.

Wiadomości literackie.

— Pierwsze dwa numera *Pamiętnika literackiego* wydawanego przez p. *Szlachtowskiego* wyszłe temi dniami, zawierają początek rozprawy: *O piśmiennictwie dzisiejszem* (p. Szlachtowskiego); ustępy z poematu, *Niniwe* Zygmunta Kaczkowskiego i z powieści: *Braciszek* (tegoż autora) *Doniesienia literackie* i *Bibljografję*.

— *Szuzelka* ma wydać wkrótce w Lipsku dziełko pod tytułem: *Das provisorische Oesterreich*.

— „*Pražsky Weczerni List*" zawiera wiadomość ze Lwowa jakoby *bibljoteka Ossolińskich*, cały zbiór czeskich książek, przez *A. Rościszewskiego* darowanych przedała tutejszej księgarni Jabłońskiego, „*Wecz. List*" nie dowierza się wieści, i my jej nie dajemy wiary, przez powtórzenie jej jednak radzibyśmy spowodować albo usprawiedliwienie albo sprostowanie tejże. Wątpimy, ażeby *Bibl. Ossolińskich* mogła być znaglona do sprzedawania *darów* choćby nie wiele pożytku przynoszących.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskie pod l. 77.